Marta Denys
Źródło: Na przykład 1996, nr 35

Rzeczpospolita aptekarska [3]

Z dziejów lubelskiego aptekarstwa

Wydawać by się mogło, że stare XIX-wieczne apteki z meblami i szkłem przesiąkniętym zapachem mikstur, nad utratą których ronimy czasem sentymentalną łezkę, były niegdyś ostoją niewzruszonej wiedzy o leku i jego preparowaniu z naturalnych li tylko surowców, jakimi obdarzają nas trzy królestwa przyrody – świat roślin, zwierząt i minerałów.

Pełniąc zaś wysoce odpowiedzialną doradczą, usługową i producentką funkcję były też apteki synonimem zasłużonego dostatku, a farmaceuci uważani byli za członków miejskiego establishmentu. Wielu z nich mogło sobie pozwolić na założenie aptek we własnych kamienicach, które znajdowały się w intratnym obrocie handlowym. Aptekarze dość często w celu podniesienia rentowności aptek dokonywali zakupu i sprzedaży swoich kamienic wraz z aptekami, i co ciekawe – i nie pozbawione racji – transakcje te odbywały się na ogół w ściśle zawodowym kręgu. Stąd też mnogość nazwisk kolejnych właścicieli jednej apteki i częste zmiany jej lokalizacji.

Jak się jednak wiodło naszym – także i lubelskim – aptekarzom w ich aptekach, trudno powiedzieć. W każdym razie ich materialny status okupiony był kilkunastogodzinną, mozolną pracą. W tamtych, przed-, między- i popowstaniowych latach sytuacja inteligencji polskiej była szczególnie ciężka w związku z represyjną, hamującą wszelki postęp i inicjatywę polską polityką zaborców. Wszyscy farmaceuci z miasta Lublina i całej guberni lubelskiej w 1863 roku – na przykład – należeli do Kasy Wsparcia.

W tym czasie – to jest w drugiej połowie XIX wieku – w Lublinie pracowało sześć aptek i dwa składy apteczne, a w guberni obejmującej powiaty: lubelski, zamojski, łukowski, krasnostawski, hrubieszowski, bialski, radzyński i siedlecki, aptek było czterdzieści kilka na prawie 700 tysięcy ludności, łącznie z miastem Lublinem.

Czy były one w stanie sprostać zapotrzebowaniu na leki, dysponując własnym, na ogół skromnie wyposażonym przyaptecznym laboratorium? Czy wobec ogromnego postępu nauki i techniki, jaki dokonywał się w zachodniej Europie, dającego lawinowe wprost odkrycia – także i cennych leków, których nowym i nie znanym dotychczas źródłem stała się między innymi synteza

organiczna, rodzima farmacja mogła wykształcić własną kadrę naukowo-badawczą? Czy miał szansę i warunki rozwinąć się rodzimy przemysł farmaceutyczny? A czy sami farmaceuci gotowi byli zmierzyć się z burzącą ich dotychczasowy błogostan zawodowy, nowoczesnością? Która dla wielu z nich była szansą zostania naukowcami, badaczami i odkrywcami nowych leków lub ich producentami, czego oczekiwało od nich społeczeństwo trapione chorobami i epidemiami?

W swej zaś podstawowej, codziennie wykonywanej profesji, farmaceuci jako sprzedawcy i wytwórcy leków prostych stawaliby się dzięki reformie studiów farmaceutycznych – wysoko kwalifikowaną kadrą, z należnym jej tytułem pracownika naukowego.

Czy jednak w czasach szarpanych dwoma powstaniami narodowowyzwoleńczymi, ich klęską i następującymi po nich represjami, biedą, upadkiem oświaty, wojnami światowymi, mieli ku temu warunki nasi farmaceuci? W jakże krótkim w stosunku do lat oczekiwań i dążeń 20-leciem niepodległej Polski?

Bo przecież woli i ambicji nie brakowało.

Spiskowcy spod znaku węża Eskulapa

W literaturze społeczno-obyczajowej XIX wieku przechowuje się sympatyczny wizerunek aptekarza jako nieodłącznego – z księdzem proboszczem, zubożałym dziedzicem, miejscowym medykiem lub naczelnikiem poczty – towarzysza popołudniowego wista lub brydża. Czasem słuchacza kwartetu muzycznego lub uczestnika akcji dobroczynnej. Ale także i orędownika postępu i niepodległościowych idei.

Aptekarze – również i lubelscy – spiskowali więc wobec zaborców, biorąc bezpośredni udział w walkach powstańczych. I o tym właśnie pragniemy pokrótce opowiedzieć.

W cytowanej przeze mnie szczodrze publikacji pani mgr Aliny Wawrzosek na temat dziejów aptekarstwa na Lubelszczyźnie znajdujemy rozdział poświęcony farmaceutom lubelskim biorącym udział w spiskach niepodległościowych w XIX wieku. Nie dowiadujemy się z niego co prawda o ich uczestnictwie w powstaniu listopadowym, natomiast mamy ślady ich aktywności spiskowej po upadku listopadowego zrywu. Wtedy to już powstały pierwsze siatki konspiracyjne w Lublinie i na Lubelszczyźnie. Miały one na celu nawiązanie kontaktów z polską emigracją polityczną w Europie zachodniej, która organizowała się tam nie tylko po to, by rozpamiętywać przyczyny klęski powstańczej, ale i szykować grunt i środki pod następne zrywy narodowowyzwoleńcze. Spiskowcy na Lubelszczyźnie konsolidowali się też w niesieniu pomocy ofiarom popowstaniowych represji w kraju.

W grudniu 1833 roku zawiązał się w Lublinie jeden z pierwszych spisków niepodległościowych pod przywództwem byłego oficera polskiego – Stanisława Nowakowskiego. W siatce tej organizacji byli także lubelscy urzędnicy – Tomasz Paździecki, Grundlich, Apolinary Kredericz. Na trop spiskowców – wskutek zdrady aptekarza Tomasza Rychtera, tego co miał aptekę przy Krakowskim Przedmieściu 233 – wpadła policja. Konspiratorzy zostali aresztowani, niektórzy zesłani w głąb Rosji lub oddani pod nadzór policji carskiej.

Dlaczego pan Rychter zdradził, tego się już chyba nigdy nie dowiemy. Na pewno nieraz roztrząsali tę kwestię następni spiskowcy, którym przewodził Aleksander Karpiński, młody prawnik, patron przy Sądzie Cywilnym w Lublinie. Miejscem spotkań konspiratorów była w tym czasie między innymi słynna lubelska kawiarnia Semadeniego – do niedawna kawiarnia „Regionalna" na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica, a obecnie mieszczą się tam sklepy z odzieżą i sprzętem nagłaśniającym.

W tamtych – 30. latach XIX wieku – spiskowali przecież i ksiądz Piotr Ściegienny z Chodna i Henryk Kamieński w Chełmskiem, i Karol Levittoux w Łukowie, i seminarzyści uniccy w konspiracji chełmskiej pod nazwą „Fraternitas", i Entuzjastki z Narcyzą Zmichowską i Augustą Grotthusową, żoną prezesa Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego, i wielu, wielu innych. To ich spiskowanie polegało też na niesieniu konkretnej pomocy więźniom politycznym, zbieraniu funduszy, broni, szarpii, czyli bandaży i opatrunków itp.

Szykowano się do powstania na marzec 1844 roku, potem nadzieje ożywiły się wraz z Wiosną Ludów. Klęską i tragicznym częstokroć losem konspiratorów skończyły się jednak wszystkie zrywy niepodległościowe. Wśród więźniów Cytadeli warszawskiej znaleźli się studenci Szkoły Farmaceutycznej pochodzący z Lublina. Był to Aleksander Peszże, którego w 1862 roku znajdujemy szczęśliwie jako właściciela apteki przy ulicy Szerokiej. Był to Karol Kaltebach i Albert Klamiński, który w 1873 roku pracował w aptece Ślaskich w Janowie Ordynackim wraz z prowizorek farmacji Ignacym Skubiszewskim, stryjem profesora J. Skubiszewskiego. Więźniem Cytadeli był także 23-letni pomocnik aptekarski z Międzyrzecza Podlaskiego – Teofil Eichler, który przewodził spiskowi i który w więzieniu odebrał sobie życie.

Ale ani ponoszone klęski, ani ostre represje nie odwiodły następnych młodych orędowników niepodległości od działania. Nowym impulsem stała się między innymi wiadomość o tragicznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w Warszawie 8 kwietnia 1861 roku.

Do zebranego na Placu Zamkowym bezbronnego tłumu zaczęło strzelać wojsko. Zginęło tam wtedy ponad sto osób. Mieszkańcy Lublina odpowiedzieli na to godnie i odważnie. W kościołach wbrew carskiemu zakazowi rozbrzmiały polskie pieśni patriotyczno-religijne, a w Łukowie

i Chełmie księża – Stanisław Brzóska i Adam Słotwinski, wygłosili takie kazania, że w raportach policyjnych zapisano tłustym drukiem, iż były one „w duchu buntowniczymi i rządowi ubliżające". Zaczęły się też liczne manifestacje, a nawet walki uliczne. W Lublinie – na przykład – w dzień urodzin cesarzowej młodzież rzuciła się do gaszenia iluminacji, które na tę okoliczność przygotowane były z urzędu. Interweniowało wojsko, używając szabel. Byli ranni, pobici i aresztowani. Lubliniacy nie dali się jednak zastraszyć i już 10 października podążyli ochotnie do Horodła na manifestację zorganizowaną w rocznicę unii polsko-litewskiej. cztery dni później władze carskie ogłosiły stan wojenny na terenie Królestwa Polskiego. Wygasły co prawda demonstracje i manifestacje uliczne, ale nie waleczny duch w narodzie!

W 1861 roku powstała w Lublinie nowa organizacja spiskowa. Jej inicjatorami byli dwaj bracia – Jan i Leon Frankowscy, nadzwyczaj rewolucyjnie usposobieni. Na czele tej struktury stanął ksiądz Baltazar Paśnikowski, młody wikariusz z lubelskiej katedry. Jego zastępcą został prowizor aptekarski – pan Kazimierz Walentynowicz. Do spisku oprócz młodzieży gimnazjalnej, urzędników, lekarzy, adwokatów i księży, przystała także i brać rzemieślnicza i służba domowa. Zapanowała w tej strukturze pełna demokracja. siatka skupiała 700 osób optujących za radykalnym obozem „czerwonych". Jej działalność poza Lublinem objęła także i głęboki teren – Chełm i okolice, a także Podlasie, gdzie na jej czele stanęli ziemianie – Bolesław Deskuj, Teodor Jasielski i Seweryn Linierski, no i ziemię łukowską ze słynną konspiracją pod wodzą księdza Stanisława Brzóski.

Wśród powstańców był i Zdzisław Skłodowski – sędzia z Opola Lubelskiego, a wśród dzielnych powstańczych kurierek – Bolesława Skłodowska – siostra Marii.

Tu, by nie wdawać się w opowieść-rzekę na temat powstania styczniowego na Lubelszczyźnie, choć jest to temat fascynujący, ograniczymy się tylko do wątku aptekarskiego, czyli udziału w nim lubelskich farmaceutów.

Wspomniani już konspiratorzy – ksiądz Paśnikowski i prowizor Walentynowicz, dokonali ogromnej przedpowstaniowej pracy. Ksiądz kierował działalnością spiskową w Lublinie i na przedmieściach, a pan aptekarz „organizował" prowincję. Werbował do powstania nie tylko ludność cywilną, ale i wojskowych rosyjskich, wśród których szerzył powstańcze i rewolucyjne idee. Miał też liczne kontakty z carskimi oficerami o rewolucyjnym nastawieniu.

Energiczna działalność księdza i prowizora przynosiła wymierne efekty. Założone przez nich struktury w Lublinie i w terenie zasiliły całą lubelską organizację, która pod koniec 1862 roku liczyła około 4 tysięcy osób plus kilka tysięcy spiskujących na Podlasiu. W miastach powoływani byli powstańczy naczelnicy. W Szczebrzeszynie takie stanowisko otrzymał od Leona Frankowskiego miejscowy aptekarz – pan Antoni Topolski. W 1865 roku został on przez władze

carskie aresztowany i osadzony w więzieniu w Janowie Lubelskim.

W przededniu wybuchu powstania na lubelską organizację spadł grom! Oto w siatce chełmskiej znalazł się zdrajca, który doniósł policji o spiskowcach. Kiedy dowiedział się o tym Komitet Centralny „czerwonych" – nakazał zlikwidować donosiciela. Wyrok został wykonany 2 listopada w Chełmie. Na tym jednak sprawa się nie skończyła, a zaczęła. Zjechała bowiem oto do Chełma speckomisja śledcza, której przewodniczył pułkownik Witkowski z Lublina, dowódca 5. dywizji piechoty wojsk carskich. Jego dociekliwe badania naprowadziły go na trop spisku, którego już nie popuścił. Nastąpiła fala aresztowań. Ujęci zostali przywódcy organizacji – Jan Bogdanowicz, ksiądz Paśnikowski i prowizor Kazimierz Walentynowicz. Wnet też znaleźli się w kazamatach twierdzy zamojskiej. Zdesperowany ksiądz Paśnikowski popełnił samobójstwo, Walentynowicz dostał pomieszania zmysłów. Inni konspiratorzy zesłani zostali na wiele lat do Rosji.

Z powstańczej listy

W przygotowaniach do powstania, jak i w bezpośrednich walkach nie odmówili swojej pomocy i udziału także i lubelscy farmaceuci: Władysław Ankowski – uczeń aptekarski z Lublina, i jego kolega Maurycy Bednowski z Babuń. Tradycję spiskową w rodzinie podtrzymywał niejako Karol Eichler – syn Karola Eichlera, właściciela apteki w Międzyrzecu Podlaskim. To przecież jego brat Teofil Władysław, uczeń Szkoły Farmaceutycznej w Warszawie, za udział w spisku w 1833 roku został aresztowany i osadzony w Cytadeli, a tam popełnił samobójstwo. Karol jn. wstąpił do powstania i walczył w oddziale Szydłowskiego. Po przegranej bitwie musiał ukrywać się, ale i tak rok później został aresztowany i zesłany na Syberię z pozbawieniem wszelkich praw majątkowych.

Podobnie jak aptekarz Antoni Topolski w Szczebrzeszynie, tak Walerian Jasielski – aptekarz z Biłgoraja, był powstańczym naczelnikiem w tym mieście. Tam też w 1856 roku założył swoją aptekę.

W powstaniu walczyli także: Jan Januszkiewicz – uczeń aptekarski z gminy Puławy, i Aleksander Komorowski, pomocnik aptekarski z Puław.

W niezwykłych opałach znalazł się natomiast Klemens Kalicki – aptekarz z Kazimierza Dolnego, wraz z burmistrzem Arkuszowa Antonim Zdanowiczem oraz rejentem panem Styczyńskim. Wystawiono ich w charakterze „żywych tarcz" na czoło kolumny wojska rosyjskiego, które pod dowództwem pułkownika Miednikowa szło na powstańców po Mięćmierzem. Było to 1 lutego 1863 roku. Wtedy to w Kazimierzu Leon Frankowski skupił około 700 ochotników. Kazimierz był jedynym miastem na Lubelszczyźnie całkowicie opanowanym przez powstańcze

wojsko, przeciwko któremu wezwane zostały carskie posiłki z Lublina. Gdyby nie to, że do bitwy nie doszło z powodu mroku – los zakładników byłby przesądzony.

W latach 1846-1863 właścicielem apteki w Zamościu przy obecnej ulicy Mickiewicza 2 był mgr Karol Kłossowski, który podczas powstania wspierał obligacjami Zamojskie Towarzystwo Dobroczynności. W powstaniu brał również udział Henryk Koskowski – absolwent warszawskiej Szkoły Farmaceutycznej, późniejszy właściciel apteki w Łaszczowie i Tyszowcach. W 1916 roku zmarł Lublinie inny uczestnik powstania – Ludwik Kalusach – farmaceuta lubelski. Z kolei Henryka Xelowskiego – ucznia farmacji, syna Onufrego Xelowskiego, właściciela dawnej apteki przy ulicy Bramowej 3, Sąd Kryminalny guberni Lubelskiej w sierpniu 1864 roku skazał zaocznie na wygnanie z kraju. A gdyby zaś samowolnie do niego powrócił – miał zostać zesłany na Syberię. Podobny wyrok za udział w powstaniu otrzymał Jan Wróblewski – podaptekarz z Opola Lubelskiego. Obu oczywiście pozbawiono praw majątkowych.

Jakub Józef Reyner – syn lekarza z Lublina, który walczył w oddziale Kononowicza pod pseudonimem „Kuba Sierp", został zesłany do kopalni we wschodniej Syberii na 12 lat katorgi.

Wśród uczestników powstania spotykamy także i nazwisko aptekarza Rychtera – chyba jednak nie tego samego, który zdradził spiskowców w 1833 roku? Był on szefem sztabu pułkownika Winnickiego i służył nawet u samego generała Langiewicza.

Wspomnieć by jeszcze wypadało o Edwardzie Wojciechowskim – kierowniku apteki w Bobrowniach w województwie lubelskim, oraz o panu Wrotnowskim – aptekarzu z Lubelskiego, który w Krakowie zajmował się wyrobem i skupowaniem amunicji dla powstańców.

A tymczasem w Lublinie i w Warszawie

Jakby nie liczyć, aptek było nadal sześć, a statystyka z końca XIX wieku do pełnego obrazu służby zdrowia dorzucałaby jeszcze dwa składy apteczne, dziesięciu lekarzy, trzynastu felczerów, siedemnaście akuszerek, dwóch weterynarzy i tylko jednego dentystę, cztery szpitale, jeden Instytut Nasadzeń Lekarskich dymem i parą z ziół, jeden zakład zdrojowy na Sławinku i jedno źródło wody żelazistej na Bronowicach. Choć równie dobrze mogli lubliniacy popijać wody nałęczowskie lub sztuczne wody mineralne z Chemiczno-Farmaceutycznych Zakładów Przemysłowych Franciszka Karpińskiego w Warszawie. Fabryka ta – dodajmy – rozwinęła się z apteki pana magistra Karpińskiego, podobnie jak i trzy dalsze zakłady farmaceutyczne – Henryka Bogumiła Spiessa, Henryka Klawego i „Motor" Jana Rutkowskiego, wszystkie w Warszawie. Spiesz zaopatrywał krajowy rynek apteczny w środki galenowe i środki chemiczne dla gospodarstwa domowego, a po

rozwinięciu produkcji przy pomocy francuskiego kapitału „Rhone-Poulene" dał początek największej w Polsce fabryce farmaceutycznej Tarchomin „Polfa". Laboratorium zaś „Magister Klawe S.A." dostarczało pierwsze possie specyfiki pod nazwą „Hemogen-Klawe", czyli syrop z tlenkiem żelaza, bardzo popularny jeszcze w XX wieku. Ponadto producent ten opracował nowe iniekcje, surowice i szczepionki, zbawienne w latach szalejących wówczas epidemii i chorób. W czasie I wojny światowej koncern ten wytwarzał już 25 własnych specyfików oraz środki opatrunkowe dla wojska. W latach międzywojennych wyspecjalizował się w wytwarzaniu leków z roślin krajowych oraz nadal surowic i szczepionek.

„Motor" zaś, czyli laboratorium Jana Rutkowskiego w Warszawie, sporządzało wyciągi roślinne, nalewki, syropy, zioła tabletkowane, wody aromatyczne, środki do kąpieli itp. Z firmy tej pochodziły plastry, maści, czopki i mydła, ponadto dziesięć gatunków sztucznych wód mineralnych, sole do kąpieli, woda destylowana, napoje gazowane i... morfina.

W wieku XIX rodzimy przemysł farmaceutyczny – choć było już kilka dobrze prosperujących firm – duszony był niechętną jego rozwojowi polityką zaborców, którym bardziej zależało na „zalaniu" aptek gotowymi, syntetycznymi specyfikami z Niemiec, niżby opierały się one na produkcji krajowego przemysłu. Do ruszenia którego był potrzebny nie tylko kapitał – i to zagraniczny – ale i dobra kadra naukowo-badawcza. Ta, pomimo represyjnej polityki zaborców, powstawała i skupiała się na uniwersytetach w Warszawie, Krakowie i Lwowie. Katedry farmacji na tych uczelniach były ośrodkami postępowych i nowoczesnych nurtów farmacji. Podobnie zresztą rzecz się miała z nauką i kadrą medyczną, która w odróżnieniu od farmacji, znajdowała jakby większe pole do popisu.

Tymczasem nasze apteki, przesiąknięte zapachem mikstur, wykonywały zgodnie z zapotrzebowaniem leki proste metodą półtechniczną. Bo na tyle pozwalały warunki posiadanego przyaptecznego laboratorium.

Farmaceutom przyszło jednak zmagać się z innym ważnym, fundamentalnym wręcz problemem – swoim zawodowym i naukowym statusem.

Być magistrem, ale jakim?

Z chwilą kiedy apteki w połowie XIX wieku przestały być jedyną „wyrocznią" i miejscem, gdzie lek był badany, powstawał i był sprzedawany, a stały się ich dystrybutorem, rola farmaceuty sprowadzała się do roli ekspedienta, no i wytwórcy leków prostych.

Fakt, że wśród farmaceutów rodziła się niechęć i opór wobec obcej produkcji, która wypełniała

apteczne półki, fakt, że były ku temu pobudki patriotyczne – nie zmieniał jednak stanu rzeczy. A stan rzeczy był taki, że brakowało własnej kadry naukowo-badawczej. Okazało się też, że dotychczasowe wykształcenie farmaceutów nie dawało im szans sprostania wymogom, jakie niósł postęp światowej nauki. Co nie było ich „winą", a skutkiem ogólnego stanu nauki i oświaty, do niskiego poziomu której nawet wręcz upadku doprowadzili zaborcy. W końcu XIX też wieku badania nad lekiem przestały być domeną farmaceutów, „wzięli" się zań chemicy, biolodzy, mikrobiolodzy i technolodzy. Przez cały XIX wiek aż do 1914 roku wykształcenie farmaceutyczne w Polsce opierało się na wiedzy praktycznej zdobywanej podczas kilkuletniej pracy w aptece oraz na dwuletnich kursach uniwersyteckich na wydziałach – do wyboru – lekarskich, filozoficznym lub matematyczno-przyrodniczym. Kandydat na aptekarza musiał posiadać cztery klasy gimnazjum, bez obowiązku zdawania matury. I jak się tu przychodziło mierzyć z osiągnięciami „Wieku pary i maszyn parowych" i przyspieszeniem cywilizacyjnym, kiedy tylko nieliczni farmaceuci mogli prowadzić prace badawcze? Na przełomie XIX i XX wieku rozgorzała wiec w środowisku farmaceutów z akademickim cenzusem dyskusja nad reformą studiów farmaceutycznych i podniesieniem autorytetu apteki poprzez zmianę stylu i organizacji jej pracy. Bowiem nie mogło być już tak, żeby powiększała się luka między dokonującym się rozwojem nauki i jej osiągnięciami a skostniałym w swej chwalebnej tradycji aptekarstwem. Opracować więc trzeba było nową koncepcję studiów farmaceutycznych, dających wysoki poziom wiedzy, co w niepodległej już Polsce zaowocowało utworzeniem w 1926 roku pierwszego Wydziału Farmaceutycznego na Uniwersytecie Warszawskim z 4-letnim tokiem studiów.

Zmiany też wymagała organizacja pracy w aptekach, polegające między innymi na zmniejszeniu liczby godzin pracy do 12, co pozwoliłoby farmaceutom dokształcać się i rozwijać swoje zainteresowania i zdolności. Tu dodajmy, że do końca XIX wieku farmaceuci pracowali w swoich aptekach od świtu do nocy, czyli od godziny 8 do 23.

Ponadto uczniowie aptekarscy mieli przymus mieszkania przy aptece i stołowania się z jej właścicielami. Pomimo nowoczesnego ustawodawstwa aptekarskiego wprowadzonego w XIX wieku, w praktyce pozostały jeszcze archaiczne zwyczaje cechowe, przeciwko którym w 1898 roku zastrajkowali farmaceuci nawet z Królestwa Polskiego.

W dyskusji nad zmianą kształcenia farmaceutów gorący spór wiedli między innymi profesor Bronisław Koskowski, farmaceuta, współtwórca pierwszego Wydziału Farmacji na Uniwersytecie Warszawskim, oraz profesor Marceli Nencki, biochemik. Przedmiotem sporu który wytoczył się także i na łamy fachowej prasy, było między innymi to, czy w aptece, będącej miejscem dystrybucji środków leczniczych, tak naprawdę potrzebny jest aptekarz o wysokim stopniu wykształcenia?

Czy dla zdobycia zawodu farmaceuty konieczne jest posiadanie matury? Czy studia farmaceutyczne trwać mają trzy czy cztery lata? I jaki zakres wiedzy powinny obejmować?

Dyskusję sfinalizowało rozporządzenie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 1920 roku, które dało podstawę do utworzenia oddziału farmacji na UW z trzyletnim – jak na razie – tokiem studiów, oraz nadawania tytułu magistra farmacji, a także wprowadziło obowiązek posiadania matury dla kandydatów na farmaceutów.

Orędownikiem tych reform był wspomniany profesor Bronisław Koskowski, syn tyszowieckiego aptekarza – Henryka Koskowskiego, który po upadku powstania styczniowego zrezygnował z pracy naukowej i oddał się praktyce aptekarskiej. Prowadził aptekę w Łaszczowie i jej filię w Tyszowcach, co zapewne pozwoliło jego synowi Bronisławowi wybrać drogę naukową. Bronisław Koskowski był profesorem farmacji stosowanej, autorem wielu prac naukowych i podręczników, posiadaczem tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu w Lancy. Był współtwórcą, pierwszym dziekanem i wykładowcą na powstałym w 1926 roku Wydziale Farmacji na Uniwersytecie Warszawskim. W swych bojach o reformę studiów farmaceutycznych kierował się jakby chińską maksymą, mówiącą, iż aptekarz kupujący leki musi mieć oczy otwarte, lekarz otrzymujący leki może obejrzeć je jednym okiem, a chory zażywając powinien mieć oczy zamknięte.

Oto więc „otwarte oczy aptekarza", czyli jego odpowiedzialną i pełną wiedzę o leku postulował w swej równie gorącej, co i działalność, publicystyce, profesor Bronisław Koskowski.

Z nazwiska farmaceutów związanych rodzinnie i „własnościowo" z Lublinem wspomnieć by wypadało także i o profesorze Ferdynandzie Karo, który wraz z żoną Zofią w 1885 roku był właścicielem kamienicy przy ulicy Nowej. Ukończył on studia w Szkole Głównej Warszawskiej, był uczestnikiem powstania styczniowego, po upadku którego „aptekarzował" w prowincjonalnych aptekach w Łosicach i Częstochowie. Tam namiętnie zbierał i kolekcjonował rośliny. Bo trzeba powiedzieć, że profesor Ferdynand Karo był nie tylko farmaceutą, ale i wybitnym botanikiem, badaczem flory polskiej i syberyjskiej. Zebrał kilkadziesiąt tysięcy okazów roślin krajowych i sporządzał z nich zielniki, które znajdują się w wielu muzeach i ośrodkach naukowych na świecie. W ciągu dwudziestoletniego pobytu na Syberii, pełniąc tam obowiązki aptekarza wojskowego, zebrał około 80 tys. okazów roślin z 800 występujących gatunków, które wzbogaciły wspomniane zielniki.

Wśród właścicieli słynnej apteki Józefa Czempińskiego przy Krakowskim Przedmieściu – róg Bernardyńskiej – spotykamy nazwisko Jana Karo, syna Edmunda. Pan Jan miał i skład apteczny, i aptekę zaopatrzoną zawsze w najświeższe wody mineralne wprost ze źródeł oraz przetwory tychże

wód. A ponadto wspierał spółkę pod nazwą „Teatr Lubelski”. No i chyba bardzo blisko był związany rodzinnie z profesorem Ferdynandem Karo.

Splotły się w naszej „Rzeczpospolitej aptekarskie” różne wątki – walki i zmagań – zrywów narodowowyzwoleńczych i dążeń cywilizacyjnych, które wypełniały drugą połowę XIX wieku i pierwszą XX wieku. Być może nie wszystkie ślady, nie wszystek udział i obecność konkretnych osób oraz ich osiągnięcia zostały tu rozpoznane i przytoczone. Może będzie okazja kiedyś je jeszcze przypomnieć.

Marta Denys

P.S. W artykule skorzystano z pracy pani mgr Aliny Wawrzosek pt. *Materiały do dziejów aptekarstwa polskiego,* maszynopis której udostępniła nam apteka Muzeum „Cefarm” w Lublinie. Za co serdecznie dziękujemy.